

WSPOMNIENIA TADEUSZA NOWOBILSKIEGO Cichociemnego, pseudonim "Dzwon"

Napisane podczas wakacji w Londynie, w 1972 roku u jego stryja Albina Nowobilskiego

Po przejściu przeszkolenia w VI oddziale zostałem w miesiącu wrześniu 1943 skierowany do bazy wyczekiwania na odlot do kraju, znajdującej się pod Londynem. W bazie tej przebywałem około dwa miesiące, poczem zostaliśmy przyłączeni do transportu udającego się do Stanów Zjednoczonych. Transport ten składający się z około 100 okrętów był mocno ubezpieczony przez okręty wojenne w tym również przez lotnikowce. Po odpłynięciu na wysokość wysp Balearskich, część konwoju skierowała się do Gibraltaru. Z Gibraltaru popłynęliśmy do Algieru, gdzie zatrzymaliśmy się koło tygodnia, a następnie załadowano nas na pociąg, którym udaliśmy się do Tunisu, z kąd po zaokrętowaniu udaliśmy się w kierunku Sycylii, a następnie do Bari. Ja otrzymałem polecenie zorganizowania dostaw do naszej bazy w "Latiano". Do pomocy przydzielono mnie żołnierza Kanadyjskiego, pochodzenia Włoskiego. Dowódca naszej bazy był pułkownik Szkot, a ze strony polskiej ppłk. A. Szydłowski. Baza ta była organizowana w pierwszych dniach roku 1944. Tam oczekiwaliśmy na swoją kolejkę do odlotu do kraju, prowadząc dość intensywne ćwiczenia gimnastyczne dla zachowania sprawności fizycznej. Dopiero po oczekiwaniu 3 miesięcznym nadeszła wiadomość że odlatujemy. Udaliśmy się na lotnisko po południu i wieczorem nastąpił start. Leciliśmy do kraju na Liberatorze. W samolocie w którym leciałem było nas 5-ciu. Po przylocie nad krajem nie zastaliśmy przygotowanych miejsc do skakania i przyjęcia zrzutów. W związku z tym załoga samolotu wraz z całym ekwipunkiem zawróciła do Włoch, gdzie przybyliśmy rankiem.



16/17 IV 1944

Operacja lotnicza "Weller 10"

dowódca kpt. naw. Stanisław Daniel

Ekipa XLIV:

rtm. Andrzej Czaykowski "Garda"

ppor. Tadeusz Nowobilski "Dzwon"

kpt. Leopold Skwierczyński "Aktor"

ppłk dypl. Adam Szydłowski "Poleszuk"

Po kilku dniach znowu nastąpił start z lotniska. W samolocie było 5-ciu skoczków w tym ppłk. A. Szydłowski. Lot odbywał się nad Jugosławią, Węgry i Budapesztem gdzie zostaliśmy ostrzelani przez artylerię przeciwlotniczą. Granicę Polską przekraczaliśmy w Tatrach i tam natknęliśmy się na ćwiczące samoloty niemieckie myśliwce, które z uwagi na ciemność nie rozpoznały naszego samolotu, a którego pilot wytrzymał nerwowo, szedł naprzód mimo iż niemieckie samoloty krążyły koło niego. Następnie dotarliśmy do Wisły i na nie wysokiej odległości lecieliśmy aż do Warszawy, gdzie znowu odezwała się artyleria przeciwlotnicza. Samolot skierował się w kierunku Świdra i tam zobaczyliśmy światła w układzie litery "Y." Było to około północy. Samolot zrobił okrążenie i nadał znakami świetlnymi, nastąpił zrzut. Ze skoczków skakałem ostatni, posiadałem przy pasie tulejkę mosiężną z pocztą dla Armii Krajowej. W czasie lądowania upadłem na bok w którym miałem mosiężną tulejkę i przy uderzeniu o ziemię wbiła mi się w bok, powodując lekkie krwawienie. Na miejscu lądowania każdy podał zgodnie z umową lotnikowi sygnał świetlny OK i odleciał, my zaś orientowaliśmy się po sygnałach świetlnych nadawanych samolotem że wylądowali wszyscy szczęśliwie i równocześnie znaleźliśmy swoje pozycje. W tym samym czasie zrzucone zostały kontenery z bronią, amunicją i materiałami wybuchowymi. Do kraju przywieźliśmy polskie wojenne 100 zł. zrobione w USA a które pakowaliśmy do skrzyń na bazie we Włoszech. Po zebraniu się koło placówki przyjmującej zrzut ppłk. Szydłowski zapytał się mnie: Moniek, jak się czujesz? Wspomniałem mu o lekkim zranieniu się mosiężną tulejką. Równocześnie zwróciłem uwagę na jakieś pomruki wśród miejscowych ludzi. Dowódca placówki zabrał nas do siebie na nocleg. Rano po przebudzeniu się rozglądaliśmy się w terenie, znajdowaliśmy się blisko szosy prowadzącej do Warszawy. Stół był przyzwoicie zastawiony wedlinami i wyrobami wieprzowiny. Jakież było zdziwienie dowódcy placówki, miejscowego nauczyciela, gdy zabrałem się do jedzenia wieprzowiny. Zwrócił się do mnie: "A to pan chyba nie Żyd". Ja opowiedziałem mu o przydomku jaki mi koledzy nadali na skutek obrony mojej w czasie przesłuchiwania mnie przez "Intelligence Service". Tegoż dnia udaliśmy się do kolejki podmiejskiej i każdy osobno skierował się na adres kontaktowy podany nam zagranicą.

Po skontaktowaniu zostałem przydzielony na kwatery przejściową na Żoliborz gdzie czekałem na nowe dokumenty zrobione w Warszawie. Uprzednio posiadałem odpowiednie dokumenty zrobione przez pana Różańskiego w Londynie. Pierwsze dni upływały na aklimatyzowaniu się w Warszawie. Przypominam sobie z tego okresu pierwsze wydanie fałszywej monety 100 złotowej. Udałem się do którejś ulic na obiad i zamówiłem jedzenie. Po skonsumowaniu płaciłem tą stu złotówką. Kelnerka powiedziała nie mam wydać. Chodziło o kwotę 40 złotych. Powiedziałem "ależ dziękuję". Oczywiście był to głupi moment, bo mogłem przez to wsypać się, że kwota ta jest fałszywa. Po otrzymaniu dowodu osobistego zostałem zakwaterowany przez łączniczkę na ulicy złotej. Przydział w Armii Krajowej miałem ustalony w Anglii zgodnie z moim życzeniem na województwo Krakowskie. W tym czasie była większa wyspa w Krakowskim terenie; zginęło 3-ch skoczków a jeden ciężko ranny uratował się i obecnie przebywa w USA. Zginął w tym czasie kolega szkolny z gimnazjum Wadowice, Wątrąbski. Załoga ta skakała miesiąc po moim lądowaniu. Pamiętam z okresu pobytu w Latiano, że oni mieli przecucie że zginą i nie pamiętam który to był dzień miesiąca ale piątek napewno. Nie można ich było poznać tak zawsze byli zmienieni w głębokiej depresji. Przeżywałem we Włoszech z nimi trzy takie okresy. Zrzut ten był zdradzony i Niemcy w dużej grupie obstawili ten teren, zabrali sprzęt oraz ludzi w tym 3-ch skoczków zginęło w walce, jeden ciężko ranny został uratowany. W czasie mojego pobytu na ulicy Złotej miałem odwiedziny dwojga młodych ludzi około lat 20-25, którzy zarządzali odemnie okupu 500,000 zł. gdyż jestem żydem i się ukrywam. Korzystając z pozycji siedzącej rozpiąłem spodnie i szybkim ruchem wskazałem młodej dziewczynie na corpus delicti aby sobie oglądnęła. Speszeni tym zajściem opuścili mieszkanie. W dziesięć minut później opuściłem również mieszkanie i udałem się na punkt kontaktowy, gdzie zgłosiłem o zajściu. Zostałem zakwaterowany na ulicy Ogrodowej u sióstr Cholewińskich. Dwie należały do Armii Krajowej, jedna była w dywersji a druga sanitariuszką. W tym czasie zgłosiłem do dowództwa Armii Krajowej, że chciałbym jak najszybciej wziąć udział w walkach, gdyż znudziło mi się bezczynne czekanie na możliwość udania się do Krakowa. Zaproponowano mi wyjazd ewentualny na Wołyń, Podole, lub na Wileńszczyznę. Wybrałem Wileńszczyznę. W okresie tym na skutek powiadomienia mnie na czas o łapance niemieckiej przez przypadkowego przechodnia na ulicy, unikałem wywiezienia mnie na roboty do Niemiec. Jeden z kolegów skoczek bezpośrednio po swoim wylądowaniu wpadł w tej łapance i do końca wojny przebywał w Niemczech. W okresie pobytu na ulicy Ogrodowej zaręczyłem się z jedną ze sióstr Ireną. W tym też okresie siostra narzeczonej sprowadziła z Kielecczyny moją najstarszą siostrę Janinę. Od niej dowiedziałem się o śmierci brata Zbyszka w obozie Oświęcimskim. O bracie Mietku dowiedziałem się tylko że w 40 r. przed Bożym Narodzeniem wrócił do Polski z Niemiec i zpowrotem udał się przez Słowację i Węgry na Blizki Wschód. W między czasie otrzymałem papiery na wyjazd do Lida-Nowogródek z przydziałem do 78-go pułku piechoty. Otrzymałem papiery niemieckie że udaję się jako specjalista mechanik od samolotów do Lidy.

Z Warszawy udałem się do Baranowicz pociągiem razem z wojskowymi niemieckimi. W Baranowiczach musiałem przesiąść się do innego pociągu w kierunku na Lidę. Zwróciłem się wtenczas do niemieckiego zawiadowcy stacji o pociąg najbliższy do Lidy po Angielsku. Dopiero jego zdziwienie i głośnie "Was? Was?" przyprowadziło mnie do przytomności i powtórzyłem spokojnie to pytanie po niemiecku o najbliższy pociąg do Lidy. Wspomniał mi abym uważał, bo po drodze są dość częste napady partyzantów rosyjskich. Dojechałem szczęśliwie do miejsca kontaktowego i dnia następnego zostałem odwieziony furmanką do oddziałów 78 p.p. Po krótkim staniu i okresie reorganizacyjnym, gdyż dowództwo pułku przejmował skoczek ppłk. A. Szydłowski, dowódcą batalionu jednego został por. Bujno zaś ja objąłem dowództwo kompanii. W sąsiednich kompaniach byli skoczkowie Gustaw Heczko oraz Aleksander Tarnawski. W okresie rozpoczęcia się ofensywy rosyjskiej pod Mińskiem na Białorusi ja ze swoją kompanią brałem udział w zasadzce na oddział zmotoryzowany niemiecki. W zasadzce tej zginęło 4-ech motocyklistów niemieckich oraz zostały uszkodzone i unieruchomione dwa wozy pancerne. Straty niemieckie wyniosły 11 zabitych, po naszej stronie dwóch rannych żołnierzy w tym jeden bardzo. W związku ze zbliżającym się frontem ku granicom Polski dowództwo otrzymało rozkaz zkoncentrowania oddziałów w rejonie Wilna. Oddziały nasze do Wilna nie dotarły. W między czasie nastąpiło spotkanie nasze z Armią Radziecką. Z początku obiecywano nam uzupełnienie sprzętu wojskowego i przeorganizowanie w wzięciu udziału w walkach z Niemcami. W tym czasie premier Mikołajczyk był w Moskwie. Zdawaliśmy sobie sprawę że jeżeli nie dojdzie do porozumienia zostaniemy rozbrojeni i aresztowani. Przedstawiciele Armii Radzieckiej zawiadomili nas że nasze dowództwo wraz ze wszystkimi oficerami ma udać się do dworku (nazwy miejscowości nie pamiętam) gdzie odbędzie się odprawa z naczelnym dowódcą frontu Białoruskiego. Już z zachowania się poszczególnych oficerów radzieckich domyślaliśmy się finału. Ja osobiście poprosiłem dowódcę ppłk. Szydłowskiego o wyznaczenie mnie na oficera inspekcyjnego batalionu; na podobnych funkcjach zostali również dwaj inni skoczkowie pseudonim Upłat i Skorpion. O północy dowiedzieliśmy się o aresztowaniu naszego dowództwa oraz wszystkich oficerów. Po porozumieniu się z pozostałymi oficerami inspekcyjnymi oddziały zgrupowane zostały skierowane do pobliskich lasów. Rankiem, dnia następnego, nad oddziałami naszymi ukazały się rosyjskie samoloty i helikoptery, żądające udania się na punkt zbiorny do Mydliszek, celem rozbrojenia i złożenia broni.

Wyznaczono nam przez specjalnie zesłanego oficera termin dwu godzinny po którym miano przystąpić do bombardowania i zniszczenia naszych oddziałów. Przy sposobności przeprowadzono demonstracyjne ostrzeliwanie i rzucanie lekkich bomb. Po przemowie do oddziałów i zaznajomieniu ich z powstałą sytuacją i wskazówkami Naczelnego wodza K. Sosnkowskiego o nie stawianiu oporu zbrojnego oddziałom Armii Czerwonej, który wizytując bazę skoczków we Włoszech, nie ukrywał możliwości aresztowania nas przez Rosjan. Ale jak powiedział, Rząd Polski w Londynie i Naczelnny Wódz Wojska Polskiego chcą dać zachodowi jeszcze raz dowód chęci współpracy z Rosjanami, mimo zerwania stosunków dyplomatycznych przez Rosję z Polską na skutek zadania ze strony polskiej dopuszczenia komisji międzynarodowej, celem ustalenia sprawców zbrodni w lesie Katyńskim. Oddziały zostały rozwiązane pozostawiając wszystkim wolną rękę udania się z bronią do swoich domów, lub ewentualnie pójścia na punkt rozbrojeniowy wyznaczony przez Armię Czerwoną.

Grupa około 30 ludzi w tym ja i dwaj pozostali skoczkowie postanowili przedrzeć się do Warszawy. W tym czasie już słyszeliśmy o wybuchu powstania w Warszawie. Szliśmy lasami, przechodziliśmy przez palącą się puszcę Rudnicką. Marsze przeważnie odbywaliśmy nocami a w dzień zaszywaliśmy się w lesie na odpoczynek. Przeważnie braliśmy miejscowego człowieka wieczorem, z poleceniem doprowadzenia nas nocą do wyznaczonej według mapy miejscowości. Przewodnik taki był zatrzymywany aż do następnego wieczoru i po odebraniu nowego przewodnika pierwszy wracał do swojego domu. Na czele grupy szło ubezpieczenie składające się przeważnie z jednego skoczka plus dwóch ludzi. Któregoś dnia przechodziliśmy przez szosę na której był duży ruch wojsk sowieckich. Niezbyt daleko słyhać odgłosy artyleryjskie, front bowiem zatrzymał się na Niemnie. Po odskoku około 2 km. od szosy skręciliśmy w stronę pobliskich lasów. Dochodząc do lasu zostaliśmy zatrzymani przez wartownika rosyjskiego, wezwaniem "Stoj! Kto idiot?". Odpowiedziałem "swoji" głośnym głosem by idący z tyłu słyszeli że natknęliśmy się na oddziały armii radzieckiej. Idący ze mną dwaj pozostali ubezpieczający cofnęli się w czasie mej rozmowy z wartownikiem. Pozostała grupa zrobiła dość duży szum rzucając się w bok do ucieczki. Wartownik otworzył ogień, ja padłem na ziemię. W tym czasie "czo ty" wysunął się ze skraju lasu i zatrzymał się tuż przedemną. Ja nie drgnąłem, ale słyszałem całą rozmowę dowódcy warty z wartownikiem, który rugał go dlaczego zaraz nie otworzył ognia, a ten tłumaczył się że przecież mówili że swoi. Mniej więcej po dwóch godzinach, gdy wszystko się uspokoiło, zacząłem wyczołgiwać się do tyłu a później uniosłem się i na czworakach zacząłem szybciej cofać się. Po pewnym czasie dostałem się do wioski i ustaliłem że moja grupa była w tej wiosce, z której wzięta przewodnika. Ja przenocowałem w kopie zboża do rana. Gdy usłyszałem głosy żołnierzy rosyjskich, uznałem że czas najwyższy jest udać się do lasu w kierunku w którym poszła grupa moich kolegów. Szedłem w dzień uzbrojony w granaty i pistolet maszynowy oraz rewolwer. Około południa doszedłem do osady położonej w środku lasu. Wszedłem do domu, poprosiłem o chleb i mleko zaznaczając że nikomu nie wolno wydać się z domu. Siedziałem przy oknie na ławce. Obok domu przechodził oddział partyzantki czerwonej. Gospodarz zapytał z jakiej jestem partyzantki odpowiedziałem wymijająco podając miejscowość. Na zapytanie w którym kierunku się udaję, odpowiedziałem odwrotną do planowanej maszruty. Po wyjściu z domu udałem się w kierunku zgodnie z udzieloną informacją. Później skręciłem lasem i udałem się w kierunku drogi prowadzącej na Grodno. Na skraju lasu schowałem w spróchniałym pniaku broń i amunicję. W kilka godzin później byłem już w Grodnie a następnie udałem się do Białegostoku. Od chwili schowania broni szedłem szosą a legitymujących mnie przedstawicielom Armii Czerwonej podawałem że wracam do domu, gryż byłem wywieziony na roboty do wschodnich terenów. W Białymstoku przenocowałem a następnego dnia udałem się w kierunku Warszawy. Szedłem jak najbliżej wojsk frontowych, gdyż wiedziałem że jestem tutaj bezpieczny od NKWdzistów, którzy byli trochę dalej od linii frontowej. Tymczasem front zatrzymał się dłuższy czas na rzece Narwii. W tym czasie byłem kilkakrotnie legitymowany i przechodziłem rewizję przez oficerów Armii Czerwonej. Oczywiście lepsze rzeczy były mi zabrane. Od miejscowych ludzi dowiedziałem się że Rosjanie sforsowali przeprawę przez Bug w okolicy miejscowości Granne i posuwają się na Białą Podlaskę. Niezwłocznie udałem się do Granne i tam poprosiłem jakiegoś młodzieńca o zorganizowanie przewiezienia mnie na drugą stronę Bugu, za co zaoferowałem mu 10 dol. w złocie. W pół godziny później zostałem otoczony przez patrol trzech ludzi, w tym dwóch oficerów NKWD, prawdopodobnie na skutek wsypy przez tegoż człowieka, którego chciałem aby mnie zorganizował przeprawę przez rzekę Bug.

Zaczął się okres przesłuchiwań przez NKWD. Legitymowałem się dotychczas dokumentem wystawionym przez Armię Krajową w Warszawie z pieczętką niemiecką że jestem skierowany do Lidy jako specjalista mechanik samolotowy. Dotychczas zatrzymujący mnie rosyjscy żołnierze i oficerowie nie reagowali na treść, gdyż nie znali języka niemieckiego i wystarczyła im swastyka jako dokument. Natomiast pułkownik NKWD do którego zostałem odesłany przejrzał dokładnie dokument i rzekł a to ty sukinsyn rabotał z germańcami jako specjalista. W ten czas niepotrzebnie zdradziłem się że dokument ten był wystawiony przez Armię Krajową dla wyjazdu na Wileńszczyznę. No tak nada gaworyć. Oczywiście mówił do mnie już grzecznie, ale przesłuchanie się przeciągało. W mię

dzychczas stale byłem zamykany i pod strażą silnie pilnowany wraz zatrzymanymi za różne przestępstwa lub dezertarami armii czerwonej. W drugim dniu oficer pilnujący mnie ściągnął moje buty oficerskie a w zamian ofiarował mi olbrzymie buty brezentowe. Na uwagę moją że są za duże powiedział niczego słomy dasz. Gdy mnie następnego dnia przesłuchiwał pułkownik powiedział: "czto wy zdzielali z waszymi sapahami?" A ja mu powiedziałem że to ja nie zdzielali tylko wasz oficer dyżurny to zdzielali. Wezwał go natychmiast i kazał mu oddać moje buty, których już nie mogłem ubrać gdyż wyciął usztywniki. Przez kolejne kilka dni odbywały się przesłuchania. W między czasie pokazał mi Bieruta i Osóbkę Morawskiego i pyta się mnie czy wiem kto to jest. Ja mu odpowiedziałem że nie wiem. Pokazał mi podobiznę Mikołajczyka a ten kto? Nierozważnie powiedziałem że to premier Mikołajczyk. A to ty uznajesz tolko Londonsko prawitelstwo i to zadecydowało że zostałem wyznaczony do wysyłki najpierw do Brześcia a potem do Rosji; chociaż ja podawałem się tylko za kaprała a on obiecywał mi że pójdę do wojska i tam zostanę oficerem. Ze mną znalazło się również dwóch młodych Polaków, tych jednak skierowano do RKU do wojska Polskiego. Od siedzących ze mną w różnych "ziemlankach" dowiedziałem się że jestem w rękach trybunału wojennego a na przesłuchiwanie, które odbywały się z reguły nocą wyprowadzano mnie pod strażą dwóch żołnierzy uzbrojonych a ręce wiązano mi drutem za który trzymał mnie jeden z eskortujących. Najsmutniejszy okres z tego czasu przypominam sobie gdy koło Białej Podlaskiej zwróciłem się do miejscowego sołtysa o ofiarowanie mi jakiejś czapki gdyż mi włosy zgolono i odczuwałem chłód. Sołtys spytał się ruskich żołnierzy co ja jestem za jeden. Oni mu powiedzieli że sukisyn rabotał z germańcami. Pozostali to byli ruscy w mundurach wojskowych. Sołtys podszedł do szeregu i napluł mi w twarz. Łzy mi pociekły po twarzy i powiedziałem na głos wiercie im tylko abyście nie znaleźli się w takiej jak i ja sytuacji. W kilka dni później byłem już odwieziony do Brześcia nad Bugiem, gdzie znajdowała się już spora grupa oficerów i żołnierzy Armii Krajowej. Był to już koniec sierpnia i początek września 1944r. W obozie tym odbywały się dwa razy apele, rano i wieczór, gdzie sprawdzano immiennie obecnych. Ja należałem do grupy podoficerskiej. W tym czasie w obozie przebywał równy kolega z oddziału 1-ej Dywizji Pancерnej ppor. Adam Krasinski również skoczek. Kolega zapoznał mnie ze swoimi bezpośrednimi dowódcami z Armii Krajowej między innymi mjr. Tomasz Zan. Po pewnym czasie pobytu w obozie w Brześciu nawiązano kontakt ze strażnikiem, który zobowiązał się za zegarek wyprowadzić w nocy jednego z naszej grupy. Ustalono po wspólnej naradzie że kolega Kmieć Adam pójdzie poza oboz, nawiąże kontakt z Armią Krajową i przekaże wiadomości o aresztowaniu nas. Aby jednak ukryć nieobecność jednego z oficerów, których sprawdzali dokładniej, ja zamieniłem swoje dokumenty a przejąłem kolegi Adama Krasieńskiego, który występował w obozie pod nazwiskiem Kmieć Adam Frąćewicz. Przez jakiś czas udawało mi się odpowiadanie przy odczytywaniu nazwiska za siebie i za kolegę Adama. Wreszcie wyszło na jaw gdyż doliczono się że brak jest jednego z podoficerów. W niedługim okresie po ujawnieniu ucieczki zapakowano nas do wagonów więziennych, ja z uwagi na przechodzenie w tym okresie zapalenia płucnej znalazłem się w wagonie osobowym więziennym na górnej półce. W tym to czasie spotkałem kolegę skoczka Whitheada Alfreda, który występował pod nazwiskiem Wójcik Alfred. W przedziale w którym wieziono nas na wschód odkryliśmy szereg napisów na ścianach wagonu pisanych szkłem lub gwoździem lub ołówkiem, gdyż były to te same wagony więzienne, którymi wywożono naszych oficerów do Katynia. Przypominam sobie niektóre z napisów: wyprowadzają nas małymi grupkami; słyhać niesamowite wrzaski i odgłosy oraz strzały; wagony są mocno obstawione przez strażę i psy; szereg kartek z opisami przywiezienia ich do Katynia; stoimy w Katyniu już kilka dni; nie dostajemy nic do jedzenia prócz słonych ryb i wody. Kartki znajdowały się w nieczyszczonych wentylatorach wraz z ościami z ryb. Część tych kartek jak również odpisów ze ścian spisał na kartce kolega skoczek Alfred Whithead i zrobił odpowiednie pomieszczenie w obcasie jego buta. Wiem do czasu odjazdu z ZSRR liczne rewizje, zwane obiskami, nie ujawniły schowanych dokumentów. Jakież było nasze zdziwienie gdy pewnego dnia października 1944 stanęliśmy na stacji kolejowej Katyń. Gdy pociąg stał, byliśmy przekonani że spotka nas los naszych poprzedników z 1939r. Pociąg jednak ruszył dalej na wschód w kierunku Moskwy, skręcając później na południe. Dotarliśmy wreszcie do obozu do Razania. Byliśmy tam umieszczeni razem z jeńcami niemieckimi. W obozie tym przebywaliśmy kilka miesięcy. Ja znalazłem się na sali w grupie około 25 oficerów. Na sali tej był również skoczek Whithead Alfred oraz skoczek II Korpusu mjr. Tarnawski (Trondowski?) oraz mjr. Tomasz Zan. W okresie tym została zorganizowana sześć dniowa głódówka. Zostali wybrani nasi przedstawiciele do rozmów z władzami sowieckimi, którzy mieli w imieniu pozostałych żądać od władz: 1. Nie trzymania nas razem z jeńcami niemieckimi. 2. Udostępnienia nam możliwości w kontaktowaniu się z władzami polskimi (ambasada polska). 3. Zezwolenie na korespondencje z rodzinami w kraju. 4. Poprawa na odcinku żywienia.

NKWD z miejsca aresztowało naszych przedstawicieli, tak że niektórzy z nich, w tym mjr. Trondowski dopiero 8-ego dnia przestał w więzieniu głodować. Niemniej nie wypuszczono go do obozu, wysłano go podobno na leczenie psychiatryczne, chociaż był to mężczyzna okazałego zdrowia i nie dawał żadnych objawów chorobowych. W okresie głódówki ustaliliśmy że z naszego pokoju, rozmowy nasze krytyczne lub wrogie do władz sowieckich zostawały przekazywane do NKWD. Drogą odpowiednich chwytów ustaliliśmy bezspornie że donosicielem trudnił

się mjr. Tomasz Zan. W 1945r. przeniesiono nas do innego obozu do Diagelewa obok Razania. Tam nie umieszczono Niemców. Podzielono nas na kompanie, osobno oficerskie, osobno żołnierskie. Do obozu tego po pewnym czasie przywieziono również grupy kolegów aresztowanych z Wileńszczyzny a przebywających w Kałudze. Drugim transportem przysłano znowu oficerów z województwa lwowskiego. Codziennie rano i wieczorem odbywało się sprawdzanie obecności. Szeregowi i podoficerowie wychodzili do pracy poza drutami i od czasu do czasu mogli przywieść w ukryciu trochę jarzyn, zboża lub tytoniu. Przy wejściu do obozu byli rewisowani, jednak nie zbyt dokładnie. Oficerów za druty nie puszczały gdyż były przypadki ucieczek z pracy. Plagą siedzenia oprócz niewystarczającego wyżywienia były ogromne ilości pluskiew, oraz beczynność i brak książek, bo wszystkie zostały przy rewizjach zabrane. Od czasu do czasu otrzymywaliśmy miejscowe gazety, które znający język rosyjski tłumaczyli od deski do deski. Było szereg specjalistów, którzy z tektury wyrabiali karty brydżowe, lecz trzeba je było dobrze ukrywać by nie zostały zabrane w czasie okresowych rewizyj. Wyżywienie było coraz gorsze. Częściowo przydziały były rozkradane przez komendę rosyjską obozu. Najcięższy okres nastąpił po wstrzymaniu dostaw amerykańskich z tytułu "lend-lease". Pamiętam że byliśmy żywieni, nazywało się to szczaw zupa i szczaw na gęsto. Była to faktycznie trawa koszona na łące gdzie 25% mogło być szczawiu. Przez okres następujących dwóch miesięcy żywiono nas czystą gotowaną przenicą, która przechodziła przez żołądek w całości i można było to zobaczyć w obozowych latrynach. W roku 1947 wcześniejsze mrozy nie zezwoliły na wykopanie z Sowchozu ziemniaków, tak że nasi żołnierze chodzili z kilofami i wykopywali ziemniaki z dużymi bryłami ziemi i takie zamrożone zwieziono do obozu. Ziemniakami tymi przemrożonymi a następnie śmierzącym na skutek przebywania w cieplejszym miejscu żywiono nas tygodniami. Na sali gdzie zjadaliśmy obiady nie można było wysiedzieć. Podstawą pożywienia było szczy, to znaczy kapuśniak, do którego wrzucano suszoną rybę. Jeden z kolegów zrobił gablotkę i posiadał w niej ponad 70 różnych okazów włączając to myszy, żaby, dżownice, nietoperze. Ja osobiście przestałem jadać wogóle kapuśniak, gdy przy naszym stole z wazy chochła na talerz wylano ugotowanego szczura. Zdarzało się również że czasem brakło chleba, gdy transport nawalił, chleb był to czarna masa, chyba posiadała wszystko prócz mąki, największy procent wodny. Tego chleba otrzymywaliśmy 300 gramów. Dwa razy zamieniałem się ze swoimi znajomymi, aby zobaczyć co dzieje się za drutami. Oczywiście gdy wracaliśmy z pracy widziałem grupę niewiast która podeszła do wracającego oddziału jeńców niemieckich z pracy "Fryc predajcie chleb". Sprzedaż odbywała się przez wymianę przeważnie chleba na cebulę i tytoń machorkę. A potem widziałem scenę bójki między tymi niewiastami o chleb, który by mnie przez gardło nie przeszedł, gdyż Niemcy w niewoli byli mocno załamani i brudni. Kiedyś podszedł do mnie jakiś staruszek i powiada mi: "to wy już szczęśliwi bo jesteście oswobodzeni wolni no ale kiedy my, tu westchnął, kto nas oswobodzi?" Odpowiedziałem mu przecież jesteście zwycięzcami i wolni. A on odpowiedział nie - a kto nas oswobodzi od NKWD. W mowie zaś wyczułem głęboką nienawiść.

Gdy premier angielski Winston Churchill wygłosił pamiątkową mowę wzywającą do użycia na ZSRR bomby atomowej, Rosjanie politrucy zrobili nam masówkę, odczytując nam odgłosy prasy radzieckiej, potępiające jak się wyrażano podżegacza do wojny. Na zakończenie mitingu zlecono zrobić apel do prez. Bieruta, potępiający premiera angielskiego Churchill. Grupa tak zwanych demokratów zaczęła zbierać podpisy pod apelem. Gdy odmówiłem złożenia podpisu następnego dnia zostałem wezwany na przesłuchanie do NKWD. Kmieć Adam ty nie podpisał apele do prez. Bieruta potępiającego podżegacza wojennego Churchilla. Ja odpowiedziałem stanowczo, zmęczony już pobytem w obozie, że tylko Churchill może mnie wybawić z obozu rosyjskiego. Na skutek tej odpowiedzi zostałem skazany do karceru na 7 dni. Była to ziemianka na terenie więzienia obozowego, polegała ona na siedzeniu w ziemi ze zmniejszoną do połowy racją chleba oraz jednorazowym posiłkiem zupy wody. Siedział w tym czasie również młody Rosjanin w mundurze żołnierza zachodniego. Po trzech dniach siedzenia młody Rosjanin zwraca się do mnie: "mnie was żal". Ja mu odpowiedziałem dlaczego, przecież i ty siedzisz tak jak i ja. A on powiada nie, że jemu powinni jeszcze codziennie 25 łać na pewną część ciała za to że uwierzył słowom agitatorów, którzy obiecywali wszystkim amnestię i pracę, gdyż ojczyzna potrzebuje rąk do pracy. A on syn płk. białogwardziskiego razem z ojcem i matką powrócił do Rosji. Ojca w ciągu jednego miesiąca rozstrzelali a on z matką siedzi w obozie. Ja wyjechałem z tego obozu w roku 1947, a on jeszcze przebywał jako więzień. Po obozie często krążyły wieści tak zwane parole, najczęściej nie prawdziwe dotyczące wyjazdu do kraju. Zdarzyły się trzy próby ucieczki, dwie skończyły się schwyтaniem uciekinierów. W jednym przypadku uciekinier został zastrzelony na oczach obozu przy drutach obozowych przez przeprowadzającego go żołnierza. W drugim wypadku grupa czterech w tym zakonnik ze Lwowa zostali ztorturowani i osadzeni w więzieniu. Zaledwie jeden był przypadkiem udanej ucieczki kpt. Mickunasa. Ucieczka ta podtrzymywała nas na duchu, być może że wreszcie kraj dowie się o naszym pobycie w obozie, gdyż pisać nam do kraju nie było wolno. Nie było pewności czy listy wysłane przez żołnierza poza drutami dochodziły do kraju, bo nikt z kraju listu nie otrzymywał.

W roku 1947 zostałem aresztowany przez NKWD. Siedziałem samotny w celi. Okna zabite blachą, a tylko

górami był widok wąski na niebo. Cella 10 stop długa i 4-1/2 szeroka. Wyposażenie, jedna prycza drewniana i jedna żarówka. W drzwiach celi judasz (przeziernik), przez który wartownik sprawdzał czy nie położyłem się w dzień na pryczy, bo regulamin więzienny nie zezwalał na położenie się w dzień. A nocami odbywały się długie przesłuchania a zaczynały się około godziny 23-ej, gdy układałem się do snu. Wchodził bojec i powiadał "dawaj na wapros" i prowadził mnie do jakiegoś pokoju NKWD. Wpychał do pokoju i wycofywał się. Siedzący za biurkiem NKWdzista często wogóle nie zwracał uwagi że ktoś wszedł, lub czasem kazał poczekać i coś sobie pisał. Po zadaniu pytań zdawkowych, jak familia, gdzie się rodził, po co lub po coś przyjechał do Rosji, kazał iść spać. Lecz wiadomo było że przyjdzie za chwilę znowu bojec, bo trzeba będzie uzupełnić jeszcze jakimś głupim pytaniem poprzednie wezwanie i znowu cisza. Takie przesłuchania kończyły się z reguły nad ranem. Gdy się rozwidniało wtenczas NKWdzista pakował się a człowiekowi powiadał "idej oddychać". Rano i wieczorem wartownik wyprowadzał do latryny na opróżnienie, zresztą zbytecznie bo wystarczyłoby raz na trzy dni. Siedzenie w pojedynkę w celi przeciągało się już piąty miesiąc. Wybitną pomoc w tym czasie okazał mi kolega skoczek Alfred Whithead, który zorganizował z drutu pułkę między okienkami (sedesy) w latrynie, na której rankiem co kilka dni otrzymywałem paczkę zawiniętą w ceratę a wieczorem zwracałem opakowanie. Robiąc gimnastykę w niezbyt dalekiej odległości, gdy mnie prowadził wartownik, on wyśpiewywał po angielsku o tej skrytce. Śpiewał po angielsku aby kapusie nie donieśli ruskim. Przesyłek takich otrzymałem kilkanaście, otrzymałem również książkę Konrada Walenroda, której treść nauczyłem się na pamięć. Jakim sposobem strażnik odnalazł skrytkę nie wiem. Lecz gdy nie włożył opakowania Alfred znowu przybiegł i pytał dlaczego nie oddałem opakowania, oczywiście mogłem ręką dać znak przeczący że nie otrzymałem. Zrozumiał wszystko, następnego dnia słyszałem jak paskudnie wartownik przeklinał po otwarciu przesyłki. W szóstym miesiącu na jednym z przesłuchań NKWdzista po zadaniu mi znowu głupich pytań otrzymał odemnie nie lepsze. Wtenczas zerwał się i chciał mnie uderzyć, zostałem wyprowadzony z równowagi i zwróciłem się do NKWdzisty ze słowami dość nie cenzurowanymi: ja z tą nie wyjdę ale ty też nie wyjdiesz bo cię uduszę, a wiedział że będąc skoczkiem byłem kiedyś szkolony w dziudo. NKWdziści w więzieniu nie posiadają przy sobie broni przybocznej, zaczął uciekać pod stół na stół, a kiedy widział że już trochę się zmęczyłem, prosił o przebaczenie i przyrzekł, że mnie zwolni z więzienia ale abym nikomu nie mówił o tym zajściu. Słowa dotrzymał i w ciągu tygodnia byłem już w obozie. Ale niestety nie na długo, bo znowu inny mnie wezwał na przesłuchanie i zamknął o ile pamiętam była to ta sama cela. Znowu przesłuchania, aż po kilku tygodniach zaczął ujawniać rąbka tajemnicy o co mu właściwie chodziło, a więc okres pobytu w partyzantce na Wileńszczyźnie. Po spisaniu tego wszystkiego wrócił znowu od początku jak wasza familia? Oczywiście odpowiedziałem bez zająknięcia Kmieć Adam Franczewicz. A on mi na to nie gawoncie hujowinki wy nie Kmieć Adam Franczewicz. Ja upieram się że Kmieć. Wezwał wartownika i kazał przyprowadzić jego. Był to mjr. Tomasz Zan, chciał się witać ze mną, wyciągnął rękę, krzyknąłem won kanalio. NKWdzista zwrócił mi uwagę: jak wy się obraszczajecie do swego przełożonego. Ja odpowiedziałem że to nie mój przełożony a świnia. Zwrócił się następnie do T. Zana jak ja się nazywam. Oczywiście nie znał mojego nazwiska, lecz powiedział że nie nazywam się Kmieć Adam bo Kmieć uciekł z obozu z Brześcia. Kiedy zwróciłem się do NKWdzisty że mu powiem, kazał opuścić pokój majorowi, który znowu wyciągnął rękę na pożegnanie, lecz otrzymał spojrzenie pełne pogardy. Potym wypadku po kilkunastu dniach zostałem zwolniony z więzienia i wróciłem do obozu. W tym czasie dowiedziałem się że mjr. T. Zan wraz z grupą szeregowych pojechał do Kraju.

Tymczasem na skutek siedzenia w obozie a następnie w więzieniu stan zdrowia bardzo się pogorszył. Pierwszym objawem była utrata możliwości rozróżniania kolorów co stwierdzili koledzy grając ze mną w brydża. Lecz nie tylko nie rozróżniałem kolorów widziałem czasem waleta jako króla lub naodwrot. Po pewnym czasie do godziny 10-ej rano czułem się dobrze lecz potem stawałem się bezradny i co mi zlecono robić, robiłem ale czułem silne osłabienie i brak własnej woli. Skierowano mnie do szpitala obozowego. Miałem w tym czasie stałą temperaturę powyżej 39 do 40 stopni. Zaczęto mnie leczyć na malarię lecz to nie była malaria. Otrzymywałem masę zastrzyków z glukozy. Zrobiono mnie punkcję rdzenia kregostupa. Leczył mnie z lekarzy polskich Paczkowski. Z uwagi na niepoprawianie się mego stanu skierowano mnie do szpitala w Razania. Szczęśliwą okolicznością było dla mnie spotkanie lekarza Niemca, który mnie leczył, a który czuł się więcej Francuzem niż Niemcem i pochodził z Frankfurtu nad Menem. On zajął się troskliwie moją osobą. Założył mi sondę przez nos i żołądek i cztery razy dziennie otrzymywałem strzykawki z jedzeniem płynnym, gdyż żołądek mój nie przyjmował już wogule pokarmów. Godzinami przesiadywał przy mnie i rozmawiał ze mną po francusku bo ja tylko jeden znałem możliwie ten język. Któregoś dnia przyszła wizytacja naczelnego lekarza rosyjskiego. Lekarz skoro zaznajomił pułkownika rosyjskiego z moją chorobą on na głos powiedział: "Na chto jego ruszać, on tak podechniot". Żałowałem bardzo że nie mogłem wstać i kopnąć go w pewną część ciała bo ważyłem wtenczas zaledwie 34.5 kg i nie miałem siły mokrym ręcznikiem wytrzeć sobie twarzy. W tym czasie skorzystałem z uprzejmości młodego skoczka niemieckiego, który na skutek siedzenia i przesłuchań przez NKWD (posiadał krzyż żelazny) był prawie na łożu śmierci, dał mi swoją kartkę Krieggefangene Emil Bretz i jego kartkę z jego nazwiskiem i Nr. oraz stereotypowym

jestem zdrowy i dobrze się już powodzi, spodziewam się niebawem wrócić do domu, podpisałem deim "Furtas". Był to przydomek który w domu używałem. Wysłałem do siostry najmłodszej i to była pierwsza wiadomość w domu że żyję. Kartkę tą potem otrzymałem na pamiątkę od siostry. Po sześciu tygodniach leczenia lekarz zaczął mnie karmić łyżeczką małą, otrzymywałem herbatę. Widziałem u swego lekarza wielką radość: jest dobrze bo żołądek chwycił, nie zwraca jak pierwotnie i zaczyna pracować. Lecz po kilku dniach znowu zmartwiony moją wysoką temperaturą oznajmił że musi wyjąć sondę, gdyż prawdopodobnie kwasy żołądkowe przeżarły rurkę gumową i następuje zatrucie. Po wyjęciu sondy oglądnoł ją - była cała, ja zaś poczułem drapanie w gardle. Gdy mu o tym powiedziałem, stwierdził że mam anginę. Sondy mi nie założył a karmiony byłem łyżeczką. Otrzymywałem tak zwany Kuchwunszt, to jest co życzę sobie zjeść. Z tamtąd zostałem wysłany do szpitala koło Moskwy. Tam znajdowali się Niemcy, Węgrzy a nawet Hiszpanie oraz duża grupa młodych dziewcząt z Prus Wschodnich, dużo z nich mówiło po polsku, były leczone na choroby weneryczne i innych urazy.

W 1948 roku wróciłem do obozu w Diagelewie. W dniu św. Piotra i Pawła odbyła się Msza Świeta wczesnym rankiem, gdyż władze obozowe zezwoliły na odprawienie mszy przed pójściem żołnierzy do pracy. Po ukończonej mszy polowej odprawionej przez kapelana Piotrowskiego, odśpiewano pieśń "Boże Coś Polskę" i rozeszli się wszyscy do baraków. Na odgłos gongu wyzywającego na śniadanie zareagowała zaledwie garstka - pozostali postanowili przystąpić do jednej z ostatnich głodówek na znak protestu przeciwko przetrzymywaniu nas w obozie, braku łączności z władzami Polski oraz możliwością prowadzenia z najbliższymi w kraju korespondencji oraz złe wyżywienie. Drugiego dnia władze obozowe dostarczyły do obozu mięso (przeważnie głowy z krów) gdyż spodziewano się wizytacji ze strony swoich władz zwierzchnich. Na obiad udała się grupa około 40 ludzi, na stan ponad 4000 ludzi. Grupa ta zatrula się jadem kielbasianym, część z nich zmarła a pozostali w ogromnych bólach zostali przewiezieni do rosyjskich szpitali celem przeprowadzenia sond i płukań żołądków. Czwartego dnia rozpoczę to dokarmianie sztuczne. Na skutek tego przymusowego karmienia zginął general Marcin z okręgu Lubelskiego. W czasie karmienia przerwano mu żyły. W czasie głodówki władze inspekcyjne przyrzekły nam że po przerwaniu głodówki i poprawieniu swego stanu fizycznego że wypuszczą nas do kraju. Przyrzeczenia tego częściowo dotrzykali. Obóz w ciągu miesiąca został zlikwidowany i przeniesiono nas na północ do Moskwy, gdzie w specjalnym obozie rozdzielczym zatrzymano gro ludzi a stamtąd wysyłano ich do kraju. Ja zaś znalazłem się w grupie około 200 ludzi gdzie wystali nas jeszcze dalej na północ poza Nowogrodską obłaść. Tam umieszczono nas w specjalnym obozie gdzie warunki były już znacznie lepsze żywnościowo. Odbywały się rozrywki kulturalne, kina, odczyty, mecze piłki nożnej. Obóz ten jednak pilnowali uzbrojeni jeńcy niemieccy.

Wreszcie w październiku 1948r. nadszedł dzień wyjazdu. Przeprowadzono rewizje i załadowano nas do pociągu. Pozostawiono z naszej grupy jeszcze około 30 przeważnie z grupy Lwowskiej. Straż była już nie duża i wyczuwało się już łagodne traktowanie. Jechaliśmy przez Moskwę a potem znowu przez Katyń do Brześcia nad Bugiem. Tam spotkałem już mocno zchorowanego płk. Adama Szydłowskiego, był on na ciężkich robotach podziemnych, z których zaledwie około 30% stanu wróciło jeszcze żywych do Kraju. Po kilku dniach pobytu w obozie zostaliśmy odwiezieni do Białej Podlaskiej, gdzie przejęły nas władze polskie. Każdemu zrobiono zdjęcie wraz z Nr. ewidencyjnym, dano na zmianę po jednej koszuli oraz dostarczono ciepłej stawy. Po załatwieniu formaności ewidencyjnej, każdy mógł wracać do swoich najbliższych. Do Warszawy udaliśmy się większą grupą. Pojechałem do Warszawy z myślą że znajdę swoją narzeczoną. Wraz z najlepszym kolegą Mirkiem Kuźnickim udaliśmy się na ulicę Ogrodową. Niestety z całej ulicy pozostały tylko drobne fragmenty szkieletów murów. Następnie udaliśmy się na Mokotów gdzie mieszkał stryj narzeczonej Cholewiński. Niestety i tam żadnych śladów z dawnych mieszkańców nie odnalazłem. Kolega Mirek postanowił odwieść mnie do Wadowic, w moje strony rodzinne. Lecz i tu spotkało mnie zwątpienie, gdyż z pociągu winien był zobaczyć dom rodzinny, szkołę w Gorzeniu Dolnym, szkoły ani sąsiednich domów nie zobaczyłem. Widziałem zafrasowaną minę kolegi, gdyż on również ponad cztery lata przebywał w obozie i nie miał żadnej wiadomości o swojej rodzinie. Mnie odwiózł do Wadowic, gdyż w tym czasie byłem jeszcze rekonwalentem i mogłem ważyć nie więcej niż 45 kg. Przechodzącego obok mieszkańca zapytałem czy w Wadowicach znajduje się ksiądz proboszcz Prochownik. Odpowiedź otrzymałem pozytywną. Prosiłem kolegę aby mnie dostarczył na plebanię a tam mną się już zaopiekuje ksiądz proboszcz, który w okresie przedwojennym uczył w szkole religii, gdzie mój ojciec był kierownikiem. Po przybyciu na plebanię dowiedziałem się że ksiądz proboszcz chwilowo nie ma, podziękowałem wobec tego koledze za jego troskę o moją osobę i pożegnałem aby mógł się udać w swoje strony rodzinne do swoich najbliższych do Częstochowy. Po pewnym czasie ksiądz proboszcz na moje pozdrowienie, Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, spoglądnoł na mnie i odpowiedział: "Na wieki wieków amen, co sobie dziadku życzycie". Miałem wtedy lat 29. Odpowiedziałem czy ksiądz proboszcz nie poznaje mnie, jestem Nowobilski. A który, bo wielu już z was nie żyje i ojciec w czasie odwetu Niemców również zginął. Zadzwonil do gimnazjum do księdza profesora czy moja najmłodsza siostra Jadzia jeszcze nie chodzi do gimnazjum, lecz był to już październik 1948r. a siostra

skończyła szkołę do wakacji. W tym czasie furmanka przywiozła księdza wikarego z Gorzenia. Ksiądz proboszcz uradowany zawiadomił mnie że furmanka może mnie odwieść do brata Janka który uczy w Gorzeniu Dolnym gdzie również mieszka moja mama. Gdy jechałem na furmance będąc nie daleko domu, spotkałem po prawie 10 latach młodszego o trzy lata brata. Nie byłem pewny czy to on, ale zatrzymałem go pytając: Jasiek? A on na to no Jasiek mi na imię. A czy nie poznajesz mnie, a on nie. Tadek jestem. Przywitał się ze mną i przeproszał że nie może ze mną wrócić domu, gdyż musi iść do inspektoratu szkolnego na konferencję, ale w domu jest mama. Po zejściu z furmanki od miejscowych ludzi, pracujących przy piłowaniu drewna, dowiedziałem się że mama poszła do lasu na spacer. Usiadłem na schodach kamiennych i czekałem. Gdy mama wróciła w bramie przestraszyła się czy zamknięte mieszkanie, gdyż jakiś żebrak siedzi na schodach. Pierwsze wrażenia matki o których mi później opowiadała. Ja nie ruszałem się a patrzyłem w oczy matki na trzy kroki przedemną mama poznała mnie po oczach. Po kilku dniach zjeżdżali się żyjący jeszcze bracia i siostry aby zobaczyć się z bratem żołnierzem tułaczem. Ja zaś dopełniłem nakazanego mi w Białej Podlaskiej obowiązku zameldowania się w powiatowym urzędzie bezpieczeństwa oraz RKU. W tym czasie przebywałem prawie stale w domu, gdyż stan mego zdrowia jeszcze nie był najlepszy. W czasie miesięcznego pobytu w domu zostałem wezwany do Urzędu Bezpieczeństwa, gdzie zwrócono mi uwagę że sięję wrogą propagandę wobec Związku Radzieckiego. Zapewniłem ich że nie chodzę nigdzie gdyż nie mam siły, a w domu też przychodzącymi w odwiedziny znajomymi też nie rozmawiam na ten temat jak mi było w ZSSR, gdyż nikt by mi nie uwierzył gdybym powiedział że dobrze, gdyż sam mój widok świadczył o czym innym. Dowiedziałem się jednak że przyczyną tej wizyty była lekcja o Polsce współczesnej w gimnazjum w Wadowicach, gdzie któraś z uczenic zapytała wykładającego profesora o wojsku polskim, dlaczego w wojsku polskim są oficerowie radzieccy. Profesor odpowiedział że przecież oficerowie polscy zostali we Francji i w Anglii. Wtenczas uczenica nadmieniła że miesiąc temu wrócił oficer polski z Rosji. Wyjaśnień dalszych profesor nie udzielił ale zawiadomił UB o powyższym. Ci znowu z kolei oświadczyli mi że jeżeli będę coś złego mówił na temat pobytu w Rosji to drugim razem już nie wrócę do domu. Nie omieszkałem przedmówcy powiedzieć że kiedyś będąc na zachodzie słyszałem jak opowiadali żołnierze co przeszli w Rosji. Ja jednak nie wierzyłem, boję się że gdybym ja opowiadał, też ludzie by mi nie uwierzyli. Niedługo potem wyjechałem z bratem Władkiem na zachód do Dusznik, gdzie brat pracował jako leśniczy lasów miejskich, gdzie przez sześć tygodni byłem na kuracji. W grudniu 1948 r. za namową brata udałem się do zarządu Lasów Państwowych we Wrocławiu, aby zgłosić się do pracy w lasach do kancelarii lub aby mnie wysłali na kurs leśniczych terenowych. W tym okresie ziemie zachodnie odczuwały poważne braki pracowników biurowych i terenowych. Od roku 1938 do powołania mnie w lipcu 1939 r. pracowałem w Nadleśnictwie Rzepichu w Krywoży. Gdy kierownik kadr zarządu Lasów Państwowych we Wrocławiu zaznajomił się z moim życiorysem, oświadczył takich nam nie potrzeba i do pracy nie zostałem przyjęty.

Wróciłem do Wadowic. Dowiedziałem się że Urząd Skarbowy w Wadowicach potrzebuje pracownika; zgłosiłem się. W ciągu dwóch tygodni zostałem zawiadomiony o przyjęciu mnie do pracy. Przydzielono mnie do działu finansowego podatek od uposażeń. Po trzech miesiącach przeniesiono mnie do działu domiarów i wymiarów na miasto Wadowice, gdzie pracowałem jako siła pomocnicza odpowiedzialnego referenta. Po upływie miesiąca mojego szefa odkomendarowano na trzy miesięczny kurs kierowników Urzędu Skarbowego a ja zostałem wyznaczony do prowadzenia tegoż referatu. W owym czasie działały równomiernie z Urzędem Skarbowym Obywatelskie Komisje Podatkowe, których zadaniem było przeprowadzanie rewizji i robienie odpowiednich wniosków podatkowych. Był to okres nagonki na prywatną incjatywę. W tym czasie musiałem robić domiary dla swoich najbliższych kolegów a nawet dobroczyńców względem mojej rodziny z okresu wojny. Przypominam sobie fakt kiedy pełniący obowiązki Naczelnika Urzędu zlecił mi przeprowadzić kontrolę w sklepie korzennym ob. Rzyckiego. Kontrola moja nie wykazała żadnych niezgodności z obowiązującymi przepisami. Niemniej naczelnik polecił mi zrobienie domiaru i to poważnego, podając sposób uzasadnienia, że sklep leży w punkcie dobrym i w porównaniu ze sklepem tej samej branży też w rynku winien osiągać trzy razy większe obroty w związku z czym książka podatkowa uznaje się jako nierzetelna tu następuje wyliczenie domiarowe od przybliżenia ustalonego w sposób powyższy nie realnego obrotu przy zwiększonych stawkach o 50%. Z tym sposobem pracy nie mogłem się pogodzić i wniosłem prośbę do Izby Skarbowej o zwolnienie mnie z pracy w przyśpieszonym terminie, gdyż podałem że proponowana jest mi praca w księgowości w MHD Sklep Tekstylny z lepszym wynagrodzeniem, gdzie już zresztą od miesiąca pracowałem na półetatcie po godzinach pracy w Urzędzie Skarbowym. Wtedy też zaręczyłem się z późniejszą moją małżonką. Na wskutek nie dotrzymania umowy za płacenie mi za godziny nadliczbowe przez kierownika sklepu, przy nadarzającej się okazji zwolniłem się z pracy w MHD i przeniósłem się do Wspólnoty Pracy. Sklep wielobranżowy na stanowisko kasjera. Zarobek w tym sklepie otrzymałem prawie 100% lepszy niż w Urzędzie Skarbowym.

W roku 1949 ożeniłem się w okresie Wielkanocy. Z pracy mojej moje kierownictwo było zadowolone tak że po

roku pracy otrzymałem dyplom przodownika pracy. W okresie lata 1949 roku zorientowałem się że jestem śledzony przez UB. Któregoś dnia otrzymałem telefon, że mam się udać na odprawę kasjerów Spółnoty do Krakowa, podano mi przy tem ulicę i numer domu. Zaintrygowało mnie to, gdyż nasze władze Zarząd Spółdzielni mieścił się w Bielsku-Białej. Wziąłem książkę telefoniczną i odnalazłem pod wskazanym uprzednio adresem sklep warzywny. Zadzwoiłem pod numer tegoż sklepu i zapytałem czy jest tam jakaś odprawa; otrzymałem odpowiedź przeczącą. Z spostrzeżeniem moim zaznajomiłem kierownika sklepu i oświadczyłem mu że na poleconą mi naradę nie pojadę, na co on wyraził zgodę. Następnego dnia spostrzegłem jednego z pracowników UB, który sprawdzał moją obecność w sklepie. Za kilka dni otrzymałem znowu zawiadomienie że mam się zgłosić na naradę w Bielsku-Białej. Po uzgodnieniu z kierownikiem sklepu na naradę pojechał mój zastępca Felek, dalszy krewny, którego zaznajomiłem z moimi spostrzeżeniami. Następnego dnia udał się na stację kolejową. Stacja była obstawiona, a następnie był sprawdzany, bez legitymowania osób, każdy wagon. Przy wyjściu na miasto znowu dwóch typów stało i przyglądało się intensywnie każdej wychodzącej osobie. W Bielsku Filek zdażył wpaść do rodziny i przebrał się ubierając inne palto i kapelusz. Gdy wszedł do sekretariatu spółdzielni i zdażył się zapytać o naradę, spostrzegł na twarzy pytającej osoby wielkie zdziwienie. W tym momencie weszło dwóch cywili i pytając się czy przyjechał ten gość z Wadowic. Filek natychmiast zwrócił się do nich: Co panowie sobie życzą? Nic nie odpowiedzieli, bo im się opis i sylwetka nie zgadzały z moją osobą. Od tego czasu byłem śledzony krok w krok a do późnego wieczora z okien mieszkania widziałem kręcących się osobników. Do pracy odprowadzała mnie żona. Na przerwy obiadowe wogule ze sklepu nie wychodziłem, byłem zamykany w sklepie. Wieczorem po zakończeniu pracy, też przychodziła po mnie żona lub szwagierka. W tym czasie na terenie Wadowic były mi znane przypadki że osoba zabrana z ulicy przez Urząd Bezpieczeństwa już nigdy nie wracała do domu. W międzyczasie otrzymałem zwolnienie z pracy z ostatnim dniem miesiąca, bez podania motywów. Oczywiście wiedziałem czyja to była sprężyna, ale porozumiewawszy się z kierownikiem sklepu, Lwowianinem, zrobiłem odwołanie do Związków Zawodowych, że nie zostało zachowane obowiązujące trzy miesięczne wypowiedzenie oraz nie podano mi przyczyn chociaż kilka miesięcy temu otrzymałem dyplom przodownika pracy. Zarząd Spółdzielni anulował poprzednie wypowiedzenie i przysłał nowe trzy miesięczne, jednak w przysłanym mi wypowiedzeniu pracy nie było wogóle zmianki o przyczynach zwolnienia mnie z pracy. W okresie tym robiłem sprawozdanie w domu, a które zapomniałem zabrać. Zmuszony byłem do pójścia w okresie przerwy obiadowej do domu. Po zamknięciu sklepu wyszedłem tylnym wyjściem. Przeszedłem bocznymi ulicami do ulicy Mickiewicza gdzie chciałem przeskoczyć na drugą stronę i wejść na ulicę Barską, gdzie mieszkałem. Wtenczas posłyszałem bieg za mną i głos panie Nowobilski, panie Nowobilski! Powoli przystanąłem, przy mnie stało już dwóch pracowników UB. Oświadczone mi że szef chce ze mną rozmawiać, w związku z czym zaprowadzono mnie do budynku partii, tam wprowadzono mnie do pustego pokoju a jeden z nich poszedł telefonować. Po 20 minutach zajechał samochód więźniarka do której zostałem wsadzony. Wyjąłem kawałek kartki i szybko skreśliłem trzy kartki o treści: dzisiaj to jest data i miesiąc zostałem aresztowany przez UB i podpisałem czytelnym nazwiskiem. Wyrzuciłem te kartki na zewnątrz. Dnia następnego samochodem wywieziono mnie do Krakowa. W Krakowie podano mi powody zatrzymania mnie, że znają mnie i znają moją przeszłość, zaufanie kolegów do mnie, przypuszczam że dane powyższe czerpali ze śledztwa NKWD z Rosji. Również przy tem że nacierpiałem się, w związku z tym proponują mi objęcie stanowiska Dyrektora Spółdzielni pracy, Spółnota, w Krakowie. Pracę w Spółdzielni będzie prowadził zastępca, pan będzie jeździł samochodem służbowym i nawiązywał kontakty z dawnymi kolegami i skoczkami. Wszystkie ekstra wydatki i koszty popijanek z kolegami będą mi zwracane. Ja ze swojej strony będę składał sprawozdania co oni mówią na temat Polski Ludowej, ewentualnie jakie mają plany. Gdy jednak stanowczo odmówiłem zaczęły się straszenia, między innymi że mnie zgnoją, że dołączą mnie do najbliższego procesu politycznego jako szpiega, gdyż byłem na zachodzie i utrzymuję kontakty z zagranicą, koresponduję ze stryjem i ze swoimi kolegami. Podano mi przy sposobności przykład Szczeciński, gdzie szpiedzy zagraniczni dostali po kilka lat, a niewygodni byli oficerowie Polscy otrzymali wyroki śmierci. Oświadczone mi również że jesteśmy państwem policyjnym i zrobimy co chcemy. Niech się Ameryka czy Anglia za tobą upomni, oczywiście złudzeń co do tego nie miałem. Gdy upierałem się przy swoim zdaniu, oświadczone mi, no to jeszcze zobaczymy i polecono odwieźć mnie z powrotem do UB w Wadowicach.

Siedziałem w celi bez przesłuchań już kilka dni lecz do samotnego siedzenia byłem przyzwyczajony jeszcze z więzień w Rosji. Pewnego dnia usłyszałem jednak na korytarzu jakieś ruchy, przyszedł wartownik i wyprowadza mnie na korytarz. Spotykam teścia oraz dwie osoby. Teść mi chce oznajmić niedobłą wiadomość, lecz mówić nie pozwalają. Pod eskortą jestem zaprowadzony do szpitala powiatowego. Na salę wprowadzony zostałem z grupą lekarzy i pracowników UB. Na łóżku leżała z szeroko rozwartymi oczyma moja żona. Najwpierrw pracownicy UB oświadczyli mi że nie wolno mi mówić, aż oni zezwolą. Lekarze zwracają się do małżonki czy wie kto ją odwiedza. Tak, widzę sylwetki wielu ludzi. Spostrzegłem spojrzenia porozumiewawcze pracowników UB. Zwrócono się do mnie abym przemówił. Lekarze przytrzymali żonę, która na mój głos zerwała się. Jeden z urzę

dników zapytał żony jak mąż jest ubrany. Oczywiście żona pamiętała jak dnia w którym zostałem aresztowany byłem ubrany; pomyłki żadnej nie zrobiła. Przecież ona udaje. Lekarze interweniowali: proszę powiedzieć ile palców pokazuję, raz, drugi i trzeci, nie zgadzało się ani raz. Zwróciłem się do jednego z wartowników że chcę iść do WC gdyż mam silne bóle. Za kilka minut później byłem już w ogrodzie szpitala a później na jednej z ulic. Szybkimi krokami udałem się w stronę parku a później do poblizkiego lasu w Gorzeniu Dolnym. Tam widziałem się z bratem Jaśkiem, który mi opowiedział co zaszło po moim aresztowaniu. Malżonka moja otrzymawszy w ruchu wyrzuconą kartkę przezemnie o aresztowaniu udała się do urzędu bezpieczeństwa, że chce mnie zobaczyć. Oświadczone jej że mnie wogóle nie aresztowali i że mnie niema w więzieniu. Wtenczas żona pokazała im kartkę z moją notatką. Kartkę tą jej wyrwali z ręki, żona chciała im ją odebrać lecz w tym momencie jeden z UB-owców kopnął ją w brzuch. Była w tym czasie na przełomie 7/8 miesiąca ciąży. Dostała szoku w którym przegryzła sobie silnie język. Nieprzytomną i zakrwawioną odwieziono do szpitala, gdzie natychmiast poddano ją operacji cesarskie cięcie. Syn Jacek ważył w tym okresie 1.30 kg. Włożono go do inkubatora i stwierdzono że żona nie widzi. Wiadomość o moim aresztowaniu oraz wypadek żony, która straciła wzrok wzruszyła mieszkańców miasteczka Wadowic, tak że delegacja sądu i lekarzy udali się do urzędu aby mnie wypuszczono do szpitala, gdyż tylko nowy szok może żonie przywrócić wzrok. Po kilku dniach żona słyszała rozmowę pielęgniarki z lekarzem że syn Jacek zachorował i jest mała nadzieja że uda się go utrzymać przy życiu zerwała się z łóżka, było już za późno, bo szwy świeżo zrobione popuszczały. Musiano na nowo ją zszywać. Wzrok tymczasem wrócił jej pod koniec tygodnia. Przez pewien czas ukrywałem się u rodziny w Palczy, wioska powiatu Wadowice. Na przełomie miesiąca maja-czerwca 1950 r. postanowiłem uciekać za granicę Polski. Nawiązałem kontakt z fotografem, który pracował na zachodzie, Racibowice powiat Bolesławiec, a który przyrzekł zapoznać mnie z osobą prawdopodobnie z organizacji podziemnej. Po przyjechaniu na zachód udałem się z nim do wspomnianego gościa, gdzie przedstawiłem mu swoją sytuację. On postanowił mnie ulokować u swojego znajomego leśniczego, w leśnictwie Jurków. Leśniczy ten posiadał 5-cioro dzieci, wszystkie w przedszkolnym wieku. Żona jego chorowała na raka czy inne choroby niewieście i stale była w szpitalu. Najmłodsza córka Anetka miała 4 miesiące. Leśniczy był mocno zajęty sprawami domowymi. Ja pomagałem mu w pracy kancelaryjnej a potem stopniowo odbiórki drewna w lesie oraz pisanie kwitów wywozowych czy inne prace w lesie. Równocześnie brałem ze sobą do lasu wraz z butelką mleka najmłodszą dziewczynkę dla której byłem niańką. Leśniczy ten z uwagi na kłopoty domowe podpadł, gdyż został przyłapany na handlu na wolnym rynku artykułów reglamentowanych buty gumowe. Z uwagi na trudne warunki, dużo dzieci i chorą żonę nie został aresztowany, ale został zobowiązany do meldowania się na posterunku MO w Pielnymce dwa razy w miesiącu w wyznaczonych dniach. Tam pewnego dnia gdy przybył, zobaczył moją podobiznę, list gończy UB. Gdy mnie o tym wspomniał, przyznałem się że się ukrywam, że chciałem wiać za granicę, no ale chwilowo tu się zatrzymałem aby zorientować się w możliwościach oraz rozpoznać teren. Niedługo potem, leśniczy ten został przeniesiony służbowo karnie do kancelarii nadleśnictwa Chojnów, odległość od leśnictwa około 15 km. Jeździł z początku w poniedziałki wracał do domu w sobotę lub czasem wpadał w tygodniu. Jeździł na rowerze. Uzgodnił z nadleśniczym że ja mogę być zatrudniony w Nadleśnictwie jako pomoc biurowa, nazwa stanowiska brakarz katygorii III z wynagrodzeniem miesięcznym 315 zł., był to etat pracownika fizycznego. Ja nie mogłem przyjąć etatu pracownika umysłowego, gdyż nie posiadałem wogóle dowodu osobistego, które w tym czasie były wystawiane, a oprócz tego byłem wogóle nie meldowany. W związku z tym rzadko wychodziłem na miasto, aby nie zostać wylegitymowany przez M.O. Pracowałem więc w biurze wykonując kolejno swoją pracę i sekretarza. Opodal od nadleśnictwa znajdowała się jednostka nadrzędna rejonu lasów państwowych. Ponieważ nieraz musiałem załatwiać sam lub dane dla rejonu, pracownicy rejonu koniecznie chcieli mnie ściągnąć do pracy w biurze urzędu. Nikt nie znał mojego nazwiska ponieważ zajmowałem etat pracownika fizycznego, zostałem nazwany Czarny z uwagi na mój kolor włosów. Pewnego dnia kadrowiec rejonu lasów państwowych przyszedł do mnie z propozycją pracy w biurze. Ja musiałem się wykręcać że nie mam zamiaru pracować w biurze, ale że jestem chwilowo chory na żołądek i chcę poznać pracę kancelaryjną, aby potem pójść w teren na leśniczego. Wobec tego zaproponował mi z miejsca prowadzenie dwóch leśnictw. Ja znowu odrzekłem że jestem chory i nie mogę narazie pracować w terenie. W okresie tej pracy otrzymywałem bardzo rzadko wiadomości o moich najbliższych i od brata Kazimierza, który w tym czasie pracował w tym samym powiecie Złotoryjskim w szkolnictwie. Wychowywana i karmiona butelką a potem gotowanymi przezemnie potrawami najmłodsza córka leśniczego Nanius zaczęła mówić. Pierwsze słowa mama skierowane były do mnie. Miała dwa latka jak wróciła jej matka ze szpitala i ojciec zapytał się jej: Nianius gdzie twoja mama wyciągnęła rączki i przyleciała do mnie z okrzykiem mama. Z uwagi na to że znowu zaczęto mnie przyciskać abym przyjął pracę pracownika umysłowego, udałem się do Warszawy aby spotkać kogoś ze znajomych i wyrobić sobie lewe dokumenty. Przy pierwszym pobycie nic nie załatwiłem. Wróciłem do przybranego domu, aby znowu odszukawszy adresy przygodnie korespondującej ze mna osoby po powrocie z ZSRR, pracowniczką PCK oraz adres jednego kolegi skoczka, udałem się po miesiącu do Warszawy. Poszedłem wpierw do pracowniczki PCK. Z miejsca zapoznałem ją z celem mojego przyjazdu i z moją sytuacją. Lecz gdy zobaczyłem strach w jej twarzy oraz prośbę

żebym mówił ciszej, gdyż ściany są bardzo cienkie, wypiszy podaną mi szklankę herbaty udałem się do kolegi skoczka Słonia. Ja tam ponowiłem swoją prośbę, lecz sytuacja poprzednia się powtórzyła: proszę nie mów o tych rzeczach przy mojej małżonce bo jest w 6-ym miesiącu ciąży. Oczywiście zmieniłem temat i już na wesoło opowiadałem o dawnych czasach pobytu w Anglii. Wieczorem wsiadłem do pociągu udającego się na Wrocław a następnie na Chojnów. Pociąg ten był opóźniony ponad dwie godziny w związku z czym nie udałem się bezpośrednio do nadleśnictwa a skręciłem w prawo do rejonu lasów państwowych. Tam często przebywałem wśród swoich bliskich mi kolegów Lwowiaków. Gdy mnie zobaczyli zdziwieni mówią mi, skąd się tu znalazłeś, przed chwilą byli tu z Urzędu Bezpieczeństwa i pytali się o ciebie, są nawet przed nadleśnictwem. Nie wiedzieli bowiem o moim wyjeździe do Warszawy. Natychmiast ulotniłem się z rejonu lasów państwowych, obszedłem z tyłu parkiem pod nadleśnictwo i tam widziałem obstawione nadleśnictwo. (?) Przenocowałem w tym dniu u jednego ze znajomych a następnego dnia udałem się do Bytomia do brata Bolka, którego powiadomiłem że są na moim tropie. Bolek doradził mi jechać do Warszawy do Urzędu Bezpieczeństwa i tam się zgłoś, może długo cię nie potrzymają, bo zresztą są pogłoski że ma być ogłoszona amnestia polityczna. Ja mu nadmieniłem że właściwie jakiej ja mogę podlegać amnestii, przecież nie popełniłem żadnego przestępstwa. Następnego dnia pojechałem do Warszawy i zgłosiłem się na wartowni oznajmiając że miałem zatarg z UB powiatowym w Wadowicach. Ponieważ nie miałem dowodu osobistego oddałem swoją książeczkę wojskową, gdzie był przebieg mej służby w Polsce i za granicą Polski. Po dość długim oczekiwaniu wezwano mnie do kancelarii i sam minister rozmawiał ze mną. Przedstawiłem mu po kolei wszystkie poprzednio spisane fakty, które doprowadziły mnie do dwóch możliwości albo chwycić za broń, a wspominałem że jeszcze nie jednego bym położył zanim by mnie rozwalili albo wiać za granicę. Wybrałem tą drugą alternatywę, lecz jeszcze raz próbowałem żyć w kraju i dla kraju, pracowałem sumiennie ale z uwagi że nie miałem dowodu osobistego, nie mogłem być zameldowany. Kazał mi to wszystko opisać na piśmie. Gdy napisałem przeczytał uważnie, nie podobało mu się jedno tylko wyrażenie, że chcieli na siłę ze mnie zrobić szpicla. Zwrócił się do mnie żebym zmienił to słowo, bo to nieładnie napisane, co uczyniłem. Następnie kazał mi jechać do domu, że oni w ciągu 3 tygodni sprawdzą powyższe i jeśli to jest prawda to mogę być spokojny. Prosiłem o jakieś zaświadczenie, ale oświadczone mi, że żadnych pism nie wydają, ale po przyjeździe mam zgłosić że moja sprawa jest w Warszawie. Poźnym wieczorem przyjechałem do Wadowic po czterech latach rozłąki wróciłem do domu ale tylko na krótko aby wczas rano udać się do UB w Wadowicach. Nie chciałem aby mnie widziano aby wszystko odbyło się jak najspokojniej. Na wartowni w UB zgłosiłem że przyszedłem się ujawnić. Wartownik zapytał: byliście w bandzie? Odpowiedziałem zdawkowo tak, bo co będę z nim gadał. Około godziny 8-ej przyszedł oficer śledczy (z Francji), którego znałem jeszcze z czasów siedzenia w urzędzie oraz widywałem go również pod moimi oknami spacerującego. Wartownik coś podszeptał oficer zbliżył się do mnie wpatrując się powiedział ja was znam. Ja mu spokojnie odpowiedziałem ja również. On pyta skąd? Czy nie przypomina pan sobie jak kilka lat temu spacerował pan wieczorem stale pod moimi oknami na ulicy Barskiej. Ach to pan, pogadamy jak szef przyjdzie. Odparłem po to tu przyszedłem. Gdy przyszedł szef oficer natychmiast udał się do niego i uśmiechnięty zaprasza mnie do szefa. Szef wysoki dryblas z tryumfem na twarzy zwraca się do mnie: no to wreszcie pan zmadrał i przychodzi pan do nas. Odpowiedziałem tak aby wam zgłosić że moja sprawa jest w Warszawie. Spostrzegłem konsternację u niego, co? Odpowiedziałem, że Warszawa kazała mi to wam zgłosić. Zaczął z innej beczki czy mam dowód osobisty. Odpowiedziałem że nie. Noto zapłacisz grzywnę. Zapłacę. A czy mam zdjęcia? Mam. No to dawaj. Oddałem mu które schował do szuflady. Następnie spytał gdzie będę mieszkał. Po szybkim namyśle odpowiedziałem że w Gorzeniu Dolnym w szkole u mamy. Bałem się aby małżonka nie miała szyskan w pracy z mojego powodu. Dnia następnego posłaniec z UB przyniósł mi dowód. Lecz ani grzywny ani opłaty za dowód nie żądał. Mając dowód postanowiłem udać się do brata najstarszego do Bieszczad gdyż czekanie mnie denerwowało a tam czułem się świetnie na łonie dzikiej natury. Tam zajmowałem się zbieraniem jagód, grzybów, łowieniem pstrągów oraz pomagałem bratu w pasiece. Mniej więcej po trzech tygodniach otrzymałem kartkę od najstarszej siostry Janki że otrzymali w domu wezwanie do stawienia się do UB w Wadowicach. No ale ponieważ mnie nie było, siostra poszła zgłosić, że nie mogę się stawić dnia następnego gdyż pojechałem do Bieszczad. Dyżurny krzyknął; kto mu pozwolił, ale siostra czekała spokojnie dalej. Proszę napisać do niego żeby natychmiast wracał do Wadowic, żeby równocześnie napisała aby się nie bać, bo sprawa została pomyślnie załatwiona w Warszawie. Po otrzymaniu kartki pojechałem do Wadowic i po przyjeździe dnia następnego rano zgłosiłem się w urzędzie. Chwilę jeszcze czekałem aż przyjdzie szef. Gdy mnie wezwano, szef skoczył z podniesionym głosem do mnie, sądziłem że mnie uderzy, lecz on tylko krzyczał co ja nagadałem w Warszawie. Ja spokojnie odpowiedziałem to tylko co było. On wtenczas; ja i tak wiem coś nagadał. Ja dalej spokojnie a nawet z przekorą; no to poco się pytacie. Następnie kazał mi napisać oświadczenie że ja nie roszczę pretensji żadnej do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Wadowicach, data i podpis czytelny. Po oddaniu mu tego oświadczenia pytam się i co dalej? On mi powiedział możesz iść. Spytałem gdzie - a nawet do d.... Podziękowałem skłoniwszy się i wyszedłem, postanowiłem dnia tego samego wsiąść na pociąg z sąsiedniej stacji i udać się na zachód gdzie uprzednio pracowałem w Nadleśnictwie gdyż obawiałem się

zemsty miejscowego szefa, boć przecież pamiętam śmierć Kwarciaka, którego zastrzeliło UB po ujawnieniu się i po "skorzystaniu" z amnestii w dzień przed wyznaczonym weselem został zastrzelony a UB ogłosił że koledzy z lasu go zastrzelili, gdyż współpracował z Urzędem. Ludzie jednak wiedzieli kto zastrzelił młodego chłopca. Pogrzeb zrobiono manifestacyjny, nawet UB brał udział boć podtrzymywali że to był ich człowiek.

Po przyjeździe do Chojnowa zgłosiłem się do urzędującego w rejonie lasów państwowych kadrowca ob. Mazura Juliana że chcę podjąć pracę gdyż mam już dowód osobisty i jestem zameldowany w Chojnowie. Kadrowiec oświadczył mi, że mnie do pracy nie przyjmie, gdyż nie jestem w porządku z UB. Wróciłem do poprzedniej pracy do nadleśnictwa na stanowisko brakarza. Nadleśniczy inz. Szymendela opowiadał mi długo o swoich przeżyciach i skarzeniu go przez Urząd Bezpieczeństwa w związku z moim pobytem w nadleśnictwie. On nic nie wiedział o mnie że się ukrywałem, zadowolony był jednak że nie wpadłem, gdyż nie wiadomo jak potoczyły się moje losy gdybym był wpadł za pierwszym razem w ich ręce. Wspominał o przesłuchiowaniu Urzędu Bezpieczeństwa późniejszym w Warszawie. Zapytałem co powiedział im na mój temat. On odpowiedział, że wyraża pełne zadowolenie i uznanie dla pracy Nowobilskiego Tadeusza i chciałbym mieć zawsze takich pracowników oddanych i zdyscyplinowanych. Kolega sekretarz nadleśnictwa Tkacz Zdzisław został w tym czasie przeniesiony w teren na leśniczego. Chwilowo nadleśnictwo nie posiadało pracownika a ja spełniałem jak przedtem swoje zadania otrzymując wynagrodzenie 408 zł. Po trzech tygodniach otrzymałem wezwanie przez MO do Urzędu Bezpieczeństwa w Złotoryja. Serce zaczęło mi mocniej bić ale jechać postanowiłem. Gdy czekałem następnego dnia na korytarzu UB z jednego z pokoi wyszedł w towarzystwie wartownika UB brat Kazik uśmiechnięty chciał do mnie przemówić lecz wartownik nie pozwolił. Czekałem jeszcze chwilę i wezwano mnie do tego samego pokoju z którego wyszedł brat Kazik. Jakież było moje zdziwienie gdy urzędujący tam gość podniósł się i mruknąwszy jakieś nazwisko podał mi rękę. Następnie przeprosił że jeszcze ma trochę do pisania. Ja spokojnie czekałem, po chwili wyciągnął znowu popierośnicę i podał abym zapalił papierosa. Podziękowałem gdyż nie paliłem. Odłożywszy papiery zapytał czy go znam: odparłem że nie. Oznajmił mi że jest kolegą mego brata Kazika, że razem chodzili do gimnazjum w Wadowicach, następnie opisywał dokładnie gimnazjum i Wadowice, wspominał że był u mamy ostatnio w Gorzeniu, że popił z bratem Jańskim, że to fajny chłop. Wspominał o najstarszej siostrze że również ją odwiedził, że trzyma się świetnie. W międzyczasie przeskoczył na okres wojenny i zapytał się o kogoś. Odparłem mu że przecież ja w czasie wojny nie byłem w kraju, do Polski wróciłem z ZSSR z końcem 1948 r. No tak zapomniałem. Następnie się spytał jak mi się pracuje. Odpowiedziałem, że nie pracuję bo nie chcą mnie przyjąć do pracy. Zapytał kto? Odpowiedziałem mu kadrowiec rejonu lasów państwowych Chojnow. Przedzwonił do szefa urzędu powiatowego: połączcie mnie z rejonem L.P. Chojnow. Po chwili słyszałem rozmowę jego z kadrowcem, przedstawił się jako szef urzędu wojewódzkiego a następnie w dość niewykrętnych słowach i stanowczych zapytał dlaczego się czepia niewinnego solidnego człowieka i robi trudność z przyjęciem do pracy. Odpowiedzi tamtego nie słyszałem bo się zaczął jąkać. Odłożył słuchawkę i rzekł a to takie kacyki i znowu zaczął. Pan był u naszego ministra w Warszawie. Odpowiedziałem tak. Wtenczas zwrócił się do mnie dlaczego nie zgłosił się pan u nas. Z zainteresowaniem zapytałem: to znaczy gdzie? Odparł u nas w Krakowie. Trzeba było przyjechać do nas, wszystko byśmy na miejscu załatwili. Odparłem znowu, że doprowadzili mnie do takiego stanu nerwowości, że nie byłem w stanie głębiej myśleć. No ale na przyszłość już będę wiedział. Pożegnał mnie serdecznie i życzył wszystkiego dobrego. Po powrocie do nadleśnictwa kadrowiec już czekał na mnie wystraszony co ja nagadałem na niego w urzędzie. Ja go zapewniłem że tylko wspomniałem o tym że z jego powodu nie otrzymałem w rejonie pracy. Dopiero teraz mogłem otrzymać dekret na sekretarza nadleśnictwa. Żona wraz z synem 4-ro letnim przyjechała do Chojnowa. Syn oczywiście mówił do mnie per pan, ale nie omieszkał mi powiedzieć że ma tatusia i to ładnego. Zaciekawiony tym opowiadaniem zacząłem się pytać o jego tatusia, odszedł a po chwili przyniósł mi moje zdjęcie i oznajmił: to mój tatuś.

W 1956r zmienił się całkowicie stosunek do mnie. Przyjęto mnie do pracy w rejonie lasów państwowych w Chojnowie. W tym czasie urodziła się nam córka Magdalena Maria. Tam jednak pracowałem przez trzy lata. W 1959 r. nastąpiła reorganizacja lasów państwowych i zostałem przydzielony do pracy w nadleśnictwie Lwówek Śląski jako główny księgowy. W pierwszym okresie pracy nie miałem mieszkania więc do pracy jeździłem w poniedziałki rano a do domu do Chojnowa około 50 km wracałem dopiero w sobotę czasem w piątek. Dopiero mieszkanie służbowe otrzymałem w roku 1960 i mogłem sciągnąć żonę z dziećmi do Lwówka Śląskiego. W międzyczasie uzupełniałem swoje kwalifikacje zawodowe i uczęszczałem na zaoczny dwuletni kurs księgowości leśnej przy Wyższej Szkole Ekonomicznej we Wrocławiu. Któregoś dnia na przełomie roku 1967/68 zostałem zatrzymany: panie Nowobilski szef chciał z panem porozmawiać, jestem pracownikiem UB. Zaprowadził mnie do kawiarni Metropol we Wrocławiu i tam przedzwonił do UB we Wrocławiu. Zgłosił się jakiś facet który po wstępnych zapytaniach co słyhać u mnie i jak mi się powodzi zaczął pytać o stosunek mój do kraju. Co ja myślę o Niemcach? Opowiedziałem mu o losach mego ojca który zginął w 1945r, o bracie który został zamęczony przez Gestapo oraz spalony w Oświęcimiu, oraz o bracie który zginął pod Tobrukiem, wspomniałem mu również że i

mnie nie minęły nieprzyjemności z ich strony, tu wskazałem na wybite dwa zęby na przedzie przez Niemca jeszcze z okresu Francuskiej niewoli. A widzę że doznaliście wiele przykrych rzeczy więc powiem otwarcie o co mi chodzi. Podejrzewamy żonę waszego szefa nadleśniczego pochodzenia niemieckiego oraz jej przyjaciela autochtona a pracownika nadleśnictwa o pracę na rzecz wywiadu niemieckiego. W związku z tym czy ja nie zwróciłem na to uwagi. Oświadczyłem że ta ewentualność może istnieć ale ja osobiście nie podejrzewam ją o to, chociaż stwierdziłem jej wrogi stosunek do Polski. Z uwagi że oni pracują w Nadleśnictwie częściowo są moimi podwładnymi. Prosił abym zwrócił uwagi na ich rozmowy prowadzone tylko w języku niemieckim oraz na wyjazdy częste do sąsiednich miast, gdzie stacjonują jednostki specjalne w Jeleniej Górze oraz radzieckie i polskie w Bolesławcu. Spostrzeżenia z tego zakresu miałem przekazać pracownikowi UB we Lwówku Śląskim. Sprawę powyższą należy traktować jako ściśle poufną i nie wolno o tym nikomu mówić. Spotkanie takie kolejno wyznaczył mi w kawiarni w Bolesławcu pracownik UB. Ja jednak nic konkretnego nie zauważyłem w postępowaniu zleconych mojej obserwacji osób.

W roku 1968 w czasie wydarzeń marcowych stwierdziłem że mój dom był obstawiony przez pracowników UB lub MO w cywilnych ubraniach. Wiosną 1969, zostałem przeniesiony do Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych Wrocław z przydziałem pracy jako rewizor finansowy na województwo wrocławskie. Sądziłem że będę miał spokój ze strony UB, ci jednak dalej interesowali się moją osobą czasami informacyjnie dzwoniли gdzie jadę na kontrolę, bo chcieli wpaść do mnie na rozmowę i jak długo tam będę. Z reguły jednak nikt tam nie przyjeżdżał. Telefony otrzymywałem w domu w sobotę lub w niedzielę, bo w tych dniach przebywałem w domu we Lwówku Śląskim. Dopiero po wydażeniach grudniowych to jest w roku 1970 przestano mnie nagabywać telefonicznie. Gdy w roku 1972 zacząłem się starać o paszport do Anglii przyrzeczono mi, że otrzymam go po okresie około dwóch miesięcy. Przy wydawaniu paszportu ostrzegli mnie jednak żebym nie opowiadał swoim znajomym i kolegom o przykrych zajściach i nieporozumieniach, boć chyba obecnie jest panu dobrze i jest pan zadowolony z pracy. Ależ tak odparłem.

W miesiącu czerwcu wyjechałem koleją na miesięczny urlop przez Niemcy do Londynu, w którym uprzednio przebywałem w roku 1943. Zwiedzając Londyn stwierdziłem że bardzo się zmienił. Śladów zniszczeń wojennych nie spotkałem a stolica posiadała całą masę nowoczesnych bloków i wieżowców. 20 lipca wracam do kraju, w sercu jednak odczuwam lekki lęk czy Urząd Bezpieczeństwa pozostawi mnie w spokoju, chociaż po aresztowaniach wyższych urzędników Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z roku 1971 odczuwa się u ich niepewność i załamanie.